

AKADEMICKI KLUB TURYSTYCZNY – AKT ŻYCIE JAK NA WIETRZE



Kiedy zaczęłam – niespodziewanie dla siebie i innych – studiować medycynę, Klub Medyków swoje najlepsze czasy miał już za sobą. Zbyszek Mossakowski stał się Szanowanym Doktorem i legendą. Muzykę jazzową grano już wszędzie. Zaczęła się era prosperity wczesnego Gierka, pojawiły się artykuły „luksusowe”, takie jak Coca-Cola (według sloganu reklamowego – To jest to!). Odrobinię otworzyły się granice. Do Domu Medyka ciągnęły mnie jednak wspomnienia z okresu, kiedy wchodziłam tam jako licealistka, przemycana z nieswoją legitymacją studencką i w cudzych okularach. Wspomnienia z różnych klubów studenckich – Medyka, Hybryd, Stodoły – mieszają się ze sobą. Z Medyka pamiętam najlepsze koncerty. Do Stodoły chodziło się potańczyć, do Hybryd – do kabaretu.

Już jako studentka I roku weszłam do Domu Medyka i usłyszałam z maleńkiej dziupli na półpiętrze znaną mi piosenkę, „Halny”. Z tą piosenką zawsze były kłopoty. Cenzorzy, ci z Mysiej 3 w Warszawie, uparcie wycinali zwrotek, która kończyła się zdaniem: „będzie świat nowy, lecz jaki, kto to wie”. Dla nich było jasne, że żyjemy w najlepszym z możliwych światów, w „realnym socjalizmie” w wersji gierkowskiej, złagodzone, ostatecznie naprawionym, w którym nic już nie trzeba zmieniać. Dla nas takie jasne to nie było.

Dotarłam na półpiętro, zajrzałam do środka. Dziupla 2 × 3 metry, biureczko

na wprost wejścia, ławki po obu stronach, w środku kilkanaście osób. Siedzący na schodkach ścieśnili się, robiąc mi miejsce. Na ścianie grań Tatr, pięknie ułożona z zapalek i cytat z Orkana: „Stały wysoko w ogniu, oblane skrzepłą krwią świecąca”. Mojej romantycznej 19-letniej duszy to pasowało i zostałam.

Czym był Akademicki Klub Turystyczny, gnieźdzący się w tej dziupli? Przede wszystkim kręgiem przyjaciół. Mogło nas wiele różnić, łączyły na góry, kompletny brak pieniędzy i brak tendencji do marudzenia. Jeżeli po przyjeździe na zimowy obóz na Wielką Racę trzeba było odkopać źródło, z którego schronisko czerpało wodę do kuchni i łazienki, zapytaliśmy tylko, gdzie znajdziemy do tego narzędzia. Jeżeli trzeba było uwolnić linę, zasypaną metrową warstwą śniegu, aby uruchomić wyciąg narciarski, po prostu się to robiło, żeby przez następnych parę dni jeździć na tej „wyrwiracze”.

W ciągu roku akademickiego były rajdy. Pieszce i rowerowe. Niedaleko, w okolicach Warszawy. Sezon rajdowy zaczynał się z pierwszym dniem wiosny, kończył w grudniu, rajdem mikołajkowym albo tydzień później, rajdem masochistów. „Po drodze” były Palmiry albo wyjazd na wspinaczkę skałkową w Skałki Kroczyckie. Długi majowy weekend wykorzystywaliśmy na organizację Wielkiego Rajdu Medyków. Główną atrakcją rajdu nad jeziorem Mokrym były narty wodne. Jedna para dla całej ekipy. I jedna klu-

bową pianka w rozmiarze „L”. Startowało się nie z pomostu, a z wody, do której trzeba było wejść, co wymagało odrobiny hartu. Zimna woda wlewała się przez nogawki kombinezonu, sięgała do ramion, motorówka ruszała i wtedy należało wstać z przysiadu. Ogrzana już ciepłem ciała woda wylewała się przez nogawki, a do skóry przylegała zimna pianka. Run-da po jeziorze – i następny.

W przerwach między zajęciami wpadaliśmy do „dziupli”. Pogadać, pośpiewać, pobyć razem, przynieść nową piosenkę, nowe chwytły na gitarę, pomysł na rajd, na obóz.

AKT nie przetrwał stanu wojennego i trwającego latami remontu Domu Medyka. Drewniane drzwi do „dziupli” zastąpiły porządne, z płyty pilśniowej. Co jest za nimi? Z mojego punktu widzenia – nic.

„Wszystko przepadło, przeszumiało”, ale tym, którzy widzą w naszym pokoleniu (post) komunistyczne złogi, powiem tyle:

*Myśmy żyli jak na wietrze,
Myśmy żyli niezbyt grzecznie,
Myśmy żyli niebezpiecznie – ale jak!**

* Agnieszka Osiecka

Dr hab. prof. UR Bogumiła Wołoszczuk-Gębicka
Zakład Medycyny Ratunkowej
i Intensywnej Terapii
Uniwersytet Rzeszowski